

WIECZORY W RODZINNE



WIEŚNIACZKA CZESKA.

Rysunek nasz przedstawia wieśniaczkę czeską w stroju świątecznym. W naszych czasach ludzie, do wyższych stanów należący, we wszystkich krajach ubierają się jednakowo, a po miastach trudno i stan czyjś rozpoznać po stroju; we święto zamożniejszy robotnik, stróż, posługacz, ubiera się prawie tak samo, jak i urzędnik, lekarz lub właściciel kamienicy. Na wsi tylko strój dawny, narodowy, przechował się dotąd, chociaż i wieśniacy, w sąsiedztwie miast zwłaszcza, zaczynają się już coraz więcej nosić po miejsku. A jednak wielka to szkoda, bo strój taki, odrębny w każdej niemal okolicy, zabytkiem jest dawnych czasów, zwykle też daleko ładniej wygląda od jednostajnych ubiorów, które nam moda narzuca.

PODCZAS BURZY.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie,
I gromami w głąb wąwozów ciska...
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota,
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową.
Jednak wyżej — widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

El...y.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę Reginki.

(Dalszy ciąg).

I Hanka, pokazując niby i próbując razem z Terenią, sama kaftan skroiała, a nietylko, że starczyło na rękawy, ale jeszcze pozostał kawałek w zapasie.

— Ach, to szczęście, że starczyło nareszcie — rzekła Terenia.

— Niezmiernie lubię szyć kaftany — mówiła Hanka — gdybyś chciała wszyć w pasek tę spódnicę, ja miałabym prawdziwą przyjemność wszyć te kliniki i bocзки, bo mię to bawi szczerze, gdy z pociętych kawałków utworzy się całość taka foremna i zgrabna. No jakże, Tereniu, czy zgoda?

— Dobrze — odrzekła Terenia, biorąc śpiesznie spodnicę, gdyż wszycie w pasek zdawało jej się rzeczą o wiele łatwiejszą, i siadła na miejscu siostry.

Ale nowa trudność: trzeba rozmierzyć pasek, aby zmarszczki we właściwem miejscu były jednakowo ułożone. Terenia zarumieniła się trochę, ale tyle dołożyła starania, że udało jej się zrobić to, jak potrzeba. Szyjąc, kłóła sobie palce do krwi, bo chociaż w domu, mimo że nie lubiła igły, szyć jednak musiała, ale przez dwa lata pobytu w Warszawie tak odwykła od wszystkich robót ręcznych, że dziś igła w jej palcach nie wiedziała, co z sobą zrobić. Hanka spoglądała z pod oka na męczącą się siostrę, i cień smutku i litości przemknął się po jej twarzy. „Boże mój, pomyślała w duchu, czemu ja za nich wszystkich pracować nie mogę. Biedna ta, dobra, poczciwa Terenia, zadaje sobie gwałt, biorąc się do robót, których nie lubi, i dla tego tak niezręcznie obchodzi się z niemi. Pragnie się przewyciężyć, zamknęła wszystkie książki i kajety, aby jej nie brała pokusa zaglądać do nich teraz, gdy przed nadchodzącym odpustem tyle roboty poczciwi ludzie naznosili.”

— Czy wiesz, Tereniu — rzekła Hanka, udając, że nie widzi, jak wszywanie spódnicy w pasek szło niesporo — że od kilku dni, to jest prawie od dnia, w którym dowiedziałam się o naszym smutnem położeniu, powstał projekt w mej głowie, który powoli dojrzewa, i zdaje mi się łatwym do wykonania.

— I cóż to za projekt? — zapytała Terenia, obeierając nieznacznie palec ukłóty w tej chwili tak silnie, że krew z niego dużemi występowała kroplami.

— Myślę założyć magazyn — odpowiedziała z uśmiechem.

— Magazyn? tu w Żabinie? — zapytała zdziwiona Terenia.

— Tu w Żabinie; nie myśl jednak, że będą tu kapelusze i różne eleganckie stroje, nie, w moim magazynie będą śliczne czepeczki haftowane, muślinowe, w wstążeczkami, nawet z kwiatkami dla młodych mężatek, będą piękne fartuchy, a później, później, gdy się dorobimy, założymy sklep, w którym wszystkiego dostanie, co tylko do ubrania naszym kobietom potrzebne.

— Dalekie to bardzo jeszcze czasy — odpowiedziała Terenia — nim my się dorobimy z pracy tyle, żeby można sklep założyć, to pewnie się postarzejemy, i do pracy nie będziemy miały ani siły, ani ochoty.

— Oho! więc myślisz, że tak już ciągle będziemy mozolnie pracować, nie mając z tego korzyści? — zapytała Hanka — jakto, nigdy się niczego nie dorobimy?

— Ja myślę, że gdy zapracujemy tyle, abyśmy wszyscy wyżę mogli i ubrać się jako tako, to już pewnie nic się nie okroi na przyszłość.

— Żartujesz, tak źle nie będzie — rzekła Hanka — tylko, siostrzyczko kochana, trzeba mieć wiary trochę, że nastaną dla nas dni pomyślniejsze. O! Tereniu, gdybyśmy nie

miały nadziei, że przyszłość przyniesie naszej mateczce spokój i swobodę myśli, że babunia uśmiechnie się do nas po dawnemu, bez troski na czole, to od pracy odpadłyby ręce, a życie byłoby smutne, bardzo smutne. Ale ja mam przecucie jaśniejszej doli, uważasz, Tereniu, i ja mam przecucie, a w Bogu nadzieja, że ono się spełni; tymczasem pracować będę usilnie, ani chwili spoczynku nie pozwolę sobie, bo mam siłę, młodość i zdrowie, a zatem wszelkie warunki do pracy.

— Ach, Hanko moja — rzekła smutnie Terenia — gdybym ja była taką, jak ty, podolałybyśmy wszystkiemu; al chociaż w pierwszej chwili na wiadomość o naszym nieszczęściu zdawało mi się, że pracować potrafię, że praca ta będzie mi łatwą, dziś widzę, że nie umiem nic z tego, coby nam chleb zapewnić mogło. Nic nie umiem, Hanko — dodała ze łzami w oczach, opuszczając ręce na fałdzistą spódnicę, którą szyla — niczem nie przysporzę dobrobytu dla naszej rodziny, a chwilami ogarnia mię myśl bolesna, czy raczej nie będę wam ciężarem niż pomocą.

— Egzaltujesz się, jak zwykle, Tereniu moja, ty miałabyś być ciężarem dla nas? to nie ma sensu — mówiła Hanka wesoło na pozór, choć w sercu jej zrodził się niepokój o siostrę, którą obecne położenie przepędziło taką goryczą. — A zdawała się być tak silną w pierwszej chwili — myślała Hanka — że nawet ja czułam się upokorzoną moim żalem za straconem mieniem i brakiem wiary w przyszłość. Dziś ona biedaczka upada, trzeba ją pokrzepić, podnieść na duchu, i wlać w to biedne serce choć trochę ufności w swe siły.

— Skończyłam już tę spódnicę, Hanko — rzekła Terenia podnosząc się z krzeselka — daj mi jaką robotę, szkoda czasu, każda chwila droga.

— O! — zawołała Hanka z uśmiechem — gorączkujesz się znów, siostrzyczko, przecież możesz choć chwilę wypocząć.

— Alboż o wypoczynku można myśleć? — odrzekła z westchnieniem tamta.

— Możebyś zobaczyła, co dzieci robią, już ich od godziny nie widać — mówiła Hanka, nie odrywając się od pracy, a pragnąc siostrze dać chwilę wytchnienia — idź, Tereniu, idź do nich, bo i tam jesteś potrzebna.

Terenia zarzuciła Hance ręce na szyję, i rozplakała się głośno prawie:

— O Haniu moja! — mówiła łkając — takie życie zabije mnie, ja nie mogę już milczeć, bo serce pęka mi od bólu.

Hanka rzuciła robotę i tuliła płaczącą.

— Tereniu, uspokój się — mówiła głaszcząc jej włosy, jak tkliwa matka dla ukojenia dziecięcia to czyni — czyż tu pomogą co łzy i szamotanie się daremne? Łzami nie zmienisz położenia, rozpaczaj nie zapracujesz na chleba kawałek, stracisz zdrowie, a mateczce i nam wszystkim zatrujesz życie niepokojem o ciebie.

Drzwi lekko skrzypnęły, i p. Kazimierz wszedł do pokoju. Twarz jego była smutna i poważna, nie był to już ten wesoły zawsze wujaszek, ale człowiek zgnębiony ciężkiem zmartwieciem. Spojrzał na siostrzenice i brew jego ściągnęła się chmurnie.

— Terenia płacze? — rzekł zbliżając się do dziewcząt — czy nie chora jesteś broń Boże?

Dziewczę ukryło twarz na ramieniu siostry i nie odpowiedziało ani słowa.

— Nie jest chora, wujaszku — rzekła Hanka cokolwiek zakłopotana — zdrowa jest, tylko... — i dziewczyna zawahała się trochę.

— Tylko? — zapytał p. Kazimierz — tylko co, Hanko? czyż nie powinienem wiedzieć o wszystkiem?

— Prawda, wujciu, tyś wszystko wiedzieć powinien — rzekła Hanka z nagłym postanowieniem wyjawienia prawdy — tak, przed tobą tajemnic robić nie można, bo któż, jeżeli nie ty, poradzić i pokrzepić nas może?

— O, wujciu! nie sądz mnie surowo — rzekła Terenia, prostując się i zakładając ręce na piersiach — ja się jeszcze

przewycięzę, może to tylko chwilowe cierpienie, będę pracować nad sobą, bo gorąco pragnę być taką jak Hania mężną, i nie opuszczającą rąk w nieszczęściu.

— Więc ty, biedaczko, tak cierpisz nad zmianą naszego położenia? — zapytał pan Kazimierz ze współczuciem — a jednak lży tu nie pomogą, pomyśl tylko, Tereniu, jakie to długie lata masz przed sobą, czyż nic na tę przyszłość nie zapracujesz, aby była szczęśliwą?

— Nie umiem pracować — odpowiedziała, smutnie wstrząsając głową — nie umiem nic z tego, co daje chleb i byt niezależny, nie nauczyłam się niczego, coby korzystać jaką przynosić mogło. O! ileż Hania odemnie jest szczęśliwszą!

Pan Kazimierz potarł ręką po czole, a w duszy zrodził mu się niepokój, czy nie jego było to winą? Dziewczynę tę kochał całą potęgą swego serca, widział w niej zawsze istotę wyższą, poetyczną, cieszyło go to niewymownie, gdy dziewczę rwało się do książek, pochłaniało je niemal, i nieraz sprzeczał się z siostrą, gdy ta chciała koniecznie w córce swęj widzieć kobietę praktyczną i gospodarną. Ale p. Kazimierz bronił zawsze gorliwie od tej praktycznej gospodarności ulubioną siostrzenicę, i powtarzał z dziwnym u niego uporem: niech chociaż ta będzie inną. I Terenia rosła inną, a dziś, gdy przyszła na nich godzina próby, dziewczę w pierwszej chwili z szlachetnym zaparciem siebie chciało stanąć do ciężkiej pracy, ale zabrakło siły i mocy, zabrakło umiejętności potrzebnych koniecznie, i dziewczyna z bolesną skargą wołała: nie umiem pracować.

(d. c. n.)

BABUNIA.

NOVELKA.

(Dokończenie).

— Więc cóżbyś zrobił? — zapytał ojciec głosem tak głęboko smutnym, z wyrazem takiej powagi i surowości, że Janek wstrząsnął się cały i zarumienił po same uszy, jakgdyby popełnił coś bardzo zdrożnego — cobyś zrobił, synu, gdybyś był na mojem miejscu? Sprzedałbyś Niemcowi ten kawałek ziemi, gdzie się urodził, gdzie złożone są kości twego dziada i pradziada, tę ojcowiznę, którą przodkowie twoi przez długie lata pracą uczciwą utrzymywali w swych rękach? Pozwoliłbyś tę drogą spuściznę zagarnąć Schwartzowi, byle drogo zapłacił?

— Ojcie, ja się nie zastanowiłem, myślałem tylko o babuni, i o tém, jakby nam dobrze było, gdybyśmy mogli z nią razem zamieszkać w Krakowie — mówił Janek zawstydzony.

— Pójdźno tu do mnie, Janeczku — rzekła babcia, i przyciągając do siebie ukochanego wnuka, uściskała go serdecznie — mówiłeś bez zastanowienia, moje dziecko, żałujesz też z pewnością tego, coś powiedział. Ale pamiętaj, że już nie jesteś dzieckiem, i nigdy, nigdy więcej podobnej myśli nie dopuszczaj do siebie. Pamiętaj, że to grzech wielki, występek wielki, zmarnować i z niedołączonych rąk wypuścić ziemię, otrzymaną od przodków w spuściznie. Wszak nie chciałbyś być złym, niewdzięcznym synem? a przecież dziecko najcięższą krzywdę wyrządza rodzicom, gdy nie szanuje ich pracy.

— Ach, ja nie wiem, co temu Jankowi przyszło do głowy — odezwała się Zosia, siadając z drugiej strony obok babuni — czyż zaraz sprzedawać Lipówkę? wszak i tak mogliśmy się przenieść do Krakowa, tu zostałyby ekonom, leśny, oni tacy są poczciwi, dopilnowaliby gospodarstwa doskonale.

— Moje dziecko — rzekła staruszka — to byłoby także samo zupełnie marnotrawstwo; przy najuczciwszych sługach majątek nie utrzymałby się z pewnością, gdyby rodzice opuścili gospodarstwo. Nie sprzedalibyście zaraz Lipówki, ale zagarnęliby ją wcześniej czy później wierzyciela.

— A więc niema rady? niema żadnej rady? — mówiła Zosia żałośnie.

— Innej niema, dzieci drogie — rzekła babunia smutnym

bardzo, lecz już w tej chwili zupełnie spokojnym głosem — innej niema, tylko znieść cierpliwie i z rezygnacją to przesładowanie, którego uniknąć nie możemy, a rąk nie opuszczać, wytrwale spełniać powinność, choćby najtrudniejszą.

Smutny był dnia tego obiad w dworku lipowieckim, nikt nie miał apetytu, nikt ust nie śmiał otworzyć, aby nie poruszyć strasznej boleści. Rzecz dziwna: z całej rodziny najślabsza a najciężej dotknięta sędziwa babcia okazała się duchem najmężniejszą. Uspokoila córkę i wnuczęta, pocieszała wszystkich, dodawała każdemu odwagi, a przeciwie ona na tém rozstaniu najwięcej cierpiała. Reszta rodziny zostawała razem, staruszka zaś rzuciła dom, gdzie przeżyła szczęśliwie lat tyle z ukochanemi istotami, miała żyć odtąd sama jedna pośród obcych ludzi, nad grobem stojąc, wyrzec się musiała widoku tej córki jedynęj, dla której poświęciła życie całe.

W pierwszej chwili nikt nie pomyślał o tém, że wyjazd babci i jęj osiedlenie w Krakowie znaczna za sobą pociągnie wydatki. Jak wspomnieliśmy wyżej, zacna ta kobieta, wydawszy córkę za męża, sprzedała dom swój w Krakowie, kapitał ztąd otrzymany oddała zięciowi na spłacenie długów, jakie miał na majątku i osiadła przy córce w nadziei, że w domu jęj życia dokona. Teraz wszystko się zmieniło. Staruszka i o tém pomyślała najpierwsza, i obliczyła, ile będzie potrzebowała na utrzymanie, a była to suma tak skromna, że państwo Wilscy oboje koniecznie podwoić ją chcieli. Lecz babcia ani mówić sobie o tém nie dała, miała ona charakter niezłomny i gdy raz coś postanowiła, nie odstąpiła już od tego za nic w świecie.

— Dzieci moje — mówiła staruszka — wiem doskonale, że nie żałujecie dla mnie, ale gdybym nawet w największe zbytki opływała, zawsze mi będzie źle zdala od was. Tymczasem w dzisiejszych czasach oszczędność jest dla nas wszystkich, nie już obowiązkiem rozsądku, lecz obowiązkiem sumienia, a marnotrawstwo, nie lekkomyślnością tylko, lecz występkiem. Jak niegdyś Krzyżacy ojców naszych rugowali z siedzib odwiecznych, tak i dziś godni ich następcy czyhają tylko na to, aby ziemię naszą zagarnąć, a nie mogąc jawnie jęj zdobyć przemocą, korzystają z nieogłędności naszej. Gdy raz na Lipówce będzie dług, choćby najmniejszy, już sąsiad wasz Schwartz, jak pająk, sieci swoje snuć zacznie, aż póki w nie ojcowizny waszj nie uwikła. Zbawi was jedynie baczność i roztropność.

Państwo Wilscy radzi byliby chwilę rozstania odwiec jaknajdłużej, lecz z drugiej strony obawiano się czekać zimy; stanęło więc na tém, że babcia wyjedzie w połowie Września, córka miała ją odwiedzić do Krakowa i poinódz w wyszukaniu mieszkania. Zosia i Janek pragnęli bardzo towarzyszyć matce, lecz na to babcia za nic przystać nie chciała, powtarzając raz jeszcze, że w obecnych okolicznościach każdy wydatek, nie wywołany koniecznością, jest grzechem.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Nie będziemy opisywali tych chwil bolesnych, które czytelnicy nasi łatwo sobie wyobrażą. Janek i Zosia odprowadzali babcie do najbliższej stacy kolejowej, ojciec czekał tam na nich, miał wszystko przygotować, a wyprawivszy w podróż żonę z matką, dzieci odwiedzić do domu. •Obie panie, w smutku pogrążone, zasunęły się w głęb powozu, wszyscy milczeli, Zosia nie mogła się w płaczu utulić, Janek walczył mężnie ze wzruszeniem, z trudnością mu to jednak przechodziło, a dla ukrycia łez musiał nieustannie głowę wykręcać, niby to wypatrując czegoś w okolicy. Droga prowadziła przez rzekę, powóz właśnie przejeżdżał przez most, gdy nagle usłyszano krzyk przeraźliwy, krzyk dziecka, a jednocześnie rozległ się głos starszej kobiety, było to wołanie o ratunek w języku niemieckim.

— Stój! — zawołała pani Wilska, stangret zatrzymał konie nad samym brzegiem rzeki, Janek wyskoczył, a po chwili ujrano i z powozu, co było powodem rozpaczliwych krzyków. Mała dziewczynka wpadła do wody z dość wysokiego a stromego brzegu rzeki, fale, wezbrane nieco w tej porze, porwały ją i unosiły szybko. Przestraszone biedactwo krzyknęło w pierwszej chwili, lecz teraz nie odzywało się więcej, straciło zapewne przytomność, na brzegu zaś biegła

tu i owdzie kobieta, na sługę wyglądająca, i rozpaczliwie wzywała ratunku.

— To nianka Schwartzów — rzekł Józef stangret — a to mała ich córeczka Berta się topi.

— O mój Boże! biedne dziecko! -- zawołały razem pani Wilska i babcia.

— Ach! ach! — krzyknęła Zosia — Janek wskoczył do rzeki, o! jak szybko płynie, dogoni ją z pewnością i wyciągnie.

W rzeczy samej Janek nie stracił ani jednej chwili, gdy spostrzegł, co się stało, zrzucił z siebie w mgnieniu oka wierzchnie ubranie i rzucił się w wodę. Umiał on doskonale pływać, to też sprawił się bardzo prędko, schwycił dziewczynkę za długie, lniane warkoczyki, i trzymając jej główkę ponad wodą, wkrótce na brzeg wyciągnął. Dziewczynka była omdłona, a nianka nie umiała się wziąć do jej ratowania, straciła zupełnie głowę, plotła od rzeczy, to o gniewie państwa, gdy się dowiedzą o jej niedbalstwie, to o nieposłuszeństwie i uporze małej Berty, która po to oczywiście wpadła do rzeki, aby jej dokuczyć.

Podczas gdy Janek, o ile mógł, przyprowadzał do porządku swoje toaletę z pomocą Józefa, pani Wilska z babcią i Zosią zajęły się omdlającą dziewczynką. Babcia usiadła na ziemi i położyła dziecko na kolanach, a pani Wilska nacierala mu skronie wodą kolońską, którą miała przy sobie. Mała wkrótce otworzyła oczy, spojrzała dokoła, zatrzymała dłużej wzrok na staruszce, która ją na kolanach trzymała, zerwała się i wykrzyknęła:

— Ach! die alte polnische Hexe! (stara polska czarownica) — i poczęła trzepać rączkami, jakby z przestrażchu i wstrętu.

Babcia uśmiechnęła się boleśnie i oddała dziecko niance; Janek nie mógł wytrzymać i pogroził pięścią małej Niemeczce, którą przed chwilą od śmierci uratował.

— Spóźnimy się na pociąg — zawołał Józef.

Śpiesznie więc wszyscy wsiedli do powozu, stangret wywinął biczem i popędził co koń wyskoczy. Już pierwszy dzwonek się ozwał, gdy spieniona czwórka stanęła przed dworcem kolejowym. Pan Wilski chodził po peronie nadzwyczaj niespokojny, wytłómaczono mu w kilku słowach powód opóźnienia, a ponieważ pakunki już były oddane, bilety kupione, więc jeszcze obie panie zdążyły wsiąść do wagonu. W tym razie na dobre nawet wyszło opóźnienie, bo nie było czasu na roztkliwianie się przy rozstaniu. Babcia przeżegnała wnuczęta, a gdy Janek kolana jej z płaczem całował, szepnęła wzruszonym głosem:

— Bądź zawsze taki, jakim dziś jesteś, chłopcze ukochany, bądź dzielny, szlachetny, chlebem za kamień odplacaj nieprzyjaciółom, a ojcowizny strzeż święcie...

Przeraźliwy świst lokomotywy przebił powietrze, długi pociąg poruszył się zwolna, potem pomknął śpiesznie i wkrótce znikł w oddali.

S M O K.

Nie przerażajcie się tą straszną nazwą, smok, na rycinie naszej przedstawiony, jest to niezbyt duża jaszczurka drzewna, zwierzątko niewinne, a jeśli wyrządza krzywdę motylkom i innym owadom, czyni to z potrzeby, bo żywi się niemi. Zaspokojenie głodu nie może być przecież uważane za występpek. Dawniej wyobrażano sobie, że smok jest jadowity, ale to fałsz, mieszkańcy wyspy Jawy, gdzie zwierzątko to przebywa, wcale go się nie obawiają. Pocóż więc biednemu stworzeniu nadano taką nazwę? zapytacie może. Oto dla tego, że smoki, owe istoty urojone, o których opowiadają w bajkach, miały to być potwory skrzydlate, podobne do płazów i łuskami okryte. Smok także, jak to widzicie na rysunku, ma coś podobnego do skrzydeł, duże te błony, wyrastające mu po bokach, utrzymują go w powietrzu. Nie

może jednak latać tak, jak ptak lub nietoperz, tylko spuszcza się z wysokich gałęzi na niższe, lub na ziemię, a skrzydła te chronią go od upadku. Niektórzy przyrodnicy utrzymują, wprawdzie, że zwierzątko i w górę się podnosi niekiedy, ale to już rzecz niepewna. Smok jest niezmiernie bojaźliwy, ucieka od ludzi, trudno go bardzo zejść w leśnych kryjówkach, dlatego też obyczaje jego mało są znane.

ZAPÓŻNO

P. Z. Morawską.

Zawieja była straszna, światła Bożego widać nie było, a drogą od wielkiego gościńca, idącego z Brodów do Lwowa, ciągnął oddział jezdnych, otaczając z wielką troskliwością czterokonne, poślaniane oponami sanie.

— Nie, dalej jechać nie można — ozwał się siedzący na zrebie sań, otulony kożuchem, średnich lat mężczyzna, w którym łatwo każdy poznał duchownego.

— A co, ojcze kapelanie? — zapytał jeden z najbliższych jadących.

— Nie dojedzie — szepnął ksiądz, który najczęściej podczas walki był zarazem i chirurgiem.

Na dany znak, wszyscy się zatrzymali, a jeden z towarzyszków, mimo zasp śniegowych, kopnął drogą boczną na zwiady, czy gdzie niema jakiej chaty, gdzieby można się zatrzymać. Jakoż po chwili zziąjany powrócił, mówiąc, że w bok od lasu szereg chat majaczy. I zawrócił zaraz konia, a za nim pociągnęli jezdni z powoli posuwającymi się saniami, przed którymi luzem prowadzono starannie okrytego konia. Rzeczywiście wkrótce ów jezdny dotarł do pierwszej chaty, dowiedział się, że to jest osada Sokołówka. Wieśniak, widząc ośnieżonego i zziąjanego jeźdźca, gościnnie wrota otwierał, patrzył na niego ciekawie, coby mu zwiastował.

— Nie zamykajcie wrót — rzekł wjeżdżając przybyły — bo tuż za mną ciągnie cała drużyna, a chcecie czy nie chcecie, musicie dać schronienie rannemu naszemu wodzowi.

— Czém chata bogata, tém rada — odpowiedział wieśniak — wejdźcie i rozgoście się!

A oto tuż za owym jeźdźcem ciągnął i orszak cały. Na niewielkie wieśniacze podwórko wjechały sanie, jezdni poseskakiwali z koni, uwiązali je u płotu, a gdy jedni z pomocą gospodarza ustawiali ławy, szykując na nich poślanie, inni troskliwie zdejmowali z sani i wnosili do chaty mocno snąć poranionego starca, z wielką siwą brodą, pooraną bliznami twarzą i świeżą szramą przez lewy policzek.

Spojrzał on na krzątających się około niego, powiódł po nich oczami, jak gdyby chciał przypomnieć sobie, gdzie się znajduje i co się dzieje, a potem zapytał:

— Wszak Stawiszcze zdobyte?

— Zdobyte, zdobyte, okupiliście je, wodzu, waszemi rannami! — szepnął najbliższy stojący.

— A nieprzyjacieli?

— Już go niema z téj strony — odpowiedział wojak równy wiekiem rannemu.

— Niema go! — wyrzekł głośniejsz tenże, chciał usiąść, lecz po chwili osunął się na poślanie. — Niema! tak, prawda, wszak to już dużo dni ubiegło od wzięcia Stawiszcz! — szepnął, przymknąwszy powieki i uśmiechał się dobrotliwie.

Po chwili znów otworzył oczy i rzekł:

— Niema go! lecz czy nie wróci! czy inny nie przyjdzie?

Nikt na to pytanie nie śmiał odpowiedzieć, cisza najzupełniejsza w chacie zaległa, słychać było tylko ciężki oddech leżącego na usłanych ławach starca i trzask palącego się ognia.

— Nikt, nikt z was nie może mi na to odpowiedzieć! wiedzą to tylko ci, co te klęski sprowadzili, i Ten, co w Jego mocy klęski te odwrócić. Marcynie, druhu mój! — rzekł zwracając się do stojącego najbliższego — myśmy razem tylekroć

walczyli, powiedz, powiedz, zaklinam cię! czy ta rana da się wygoić? czy ja pójde choć raz jeszcze z wami bronić naszego gniazda?

Lecz zapytany, Marcin Kownacki, napróżno silił się twarz zasepioną, nagiąć do uśmiechu, po szramami okrytym

chnąć. Po chwili ucichły rozmowy, chory usnął, czuwający nad nim ksiądz Dąbrowski i Marcin Kownacki również zdrzemnęli, inni rozeszli się po sąsiednich chatkach, szukając schronienia. Tylko wicher świstał ponuro dokoła, a z przytakującej tuż do izby stajenki dochodziło niecierpliwe rwanie



Smok (str. 92).

jego licu spływały dwie grube łzy; wojak, który tylekroć spoglądał mężnie w twarz śmierci, nie miał odwagi skłamać w obec dogorywającego wodza.

— Wszystko jest w ręku Boga! — wyręczył go w odpowiedzi ksiądz, stojący u wezłowia.

Ranny nic już na to nie rzekł, tylko usiłował się uśmie-

nić i żalose rzenie przybyłego wraz z rannym rumaka. Noc przeszła, nadspodziewanie spokojnie; ze świtem chory otworzył oczy i rzeźwiejszym głosem zapytał:

— Gdzie koń mój pocziwy?

Na głos ten żalose, przeciągłe rzenie ozwało się z sąsiedniej stajenki.

— Przeprowadźcie go, może widok mego taranta orzeźwi mnie do reszty.

Spełniono żądanie; luzak wprowadził konia, który zarżał radośnie, a potem, wyciągnawszy szyję, przykląkł na przednie nogi i głowę na piersiach wodza pieszczotliwie położył. I znowu cisza zaległa; nikt nie śmiał przerywać tego pożegnania... Dopiero głosy idące ze dworu ocuciły wszystkich. Kofi podniósł głowę, luzak go wyprowadził, a do chaty, poprzedzony przez Dymka, syna gospodarza, wchodził gość osypany śniegiem, za nim pacholek, niosący podłużne pudro.

— A więc tu, tu nareszcie znaleźliśmy naszego wodza! — zawołał wchodzący. — A oto najmiłościwszy nam panujący król Jan Kazimierz przysłał Imci panu Stefanowi Czarnieckiemu, starościem tykocińskiemu, buławę, mianując go polnym hetmanem.

To mówiąc, wyjął z zanadru i oddał rannemu pargamin z pieczęcią królewską, a wzięwszy od pacholka pudro, wydobyl zeń buławę i podał również leżącemu wodzowi.

Nowomianowanemu hetmanowi rozjaśniło się poorane oblicze, dzwignął się na posłaniu, wyciągnął prawicę, ujął znak swój godności, lecz zaraz opadł na poduszki, a ręka wraz z buławą legła bezwładnie na okrywającą go oponę.

— Zapóźno! zapóźno! — wyszeptał wódz blademi ustami, ściskając trzymaną buławę.

Otoczający cisnęli się do rannego wodza, a sami nie mając otuchy, pocieszała jednak swego hetmana.

— Niech żyje Stefan Czarniecki, wielki wódz i hetman! — ozwały się okrzyki pod oknem chaty, a do izby cisnęły się pacholeta wieśniacze, które wraz z Dymkiem przyprowadziły podróżnych.

— Niech żyje wielki wódz i hetman, Stefan Czarniecki, a niech i nas przyjmie do żołnierzy! — zawołał głośniejsz jeszcze jeden, i śmiały Dymko, przedarłszy się przez broniących mu przystępu rycerzy, ukląkł koło łoża.

Rozjaśniło się znów oblicze hetmana, i błysk jakiś radośny, jakby ostatnie światło dogasającej lampy, przemknęło mu po licu.

— Nie, ja nie mogę leżeć bezwładnie! — zawołał — ja nie mogę jeszcze umierać, kiedy nawet w tych maluczkiach budzi się chęć do walki! Tak, siły mi wróca!... sporządźcie mi nosze, niech mnie zawiodą do Lwowa, tam wypocznę, a potem dalej na wroga!

Otoczający smutnie na się spojrzeli; przywykli jednak spełniać rozkazy wodza, urządzili naprędce nosze, złożyli na nich rannego, pokrzepili winem, a prowadząc przodem ulubionego wodzowi konia, wyszli z chaty z drugim ciężarem... Zaledwie jednak cała ta smutna drużyna minęła wrota, jęk wyrwał się z piersi hetmana... Wszyscy stanęli, ksiądz Dąbrowski pochylił się nad leżącym. Był blady, nie dawał znaku życia, ręka jednak ścisnęła buławę... Otrzęziono go, lecz o dalszej podróży myśleć nie można było, zawrócono więc, złożono w tej samej chacie. W izbie z rannym pozostał tylko ksiądz Dąbrowski, nieodstępujący go już w kilku ostatnich wyprawach.

— Oj, zwycięstwo pod Stawiszczami drogo jest okupione! — jęknął Marcin Kownacki, ten, którego hetman swym druhem nazywał, stojąc wraz z innymi przed chatą.

— Oj, pewnie, pewnie! — odrzekł obok stojący towarzysz — wolałbym ja był tam łeb swój położyć...

— Co to nawet gadać — przerwał inny — każdy z nas chętnie byłby tam głowę zostawił, boć takich głów jak nasze naliczy jeszcze dużo Rzeczpospolita, a Stefan Czarniecki był tylko jeden.

— Oj to pewno, to pewno — westchnął znów Marcin Kownacki — toż my ze Stefanem z jednej jesteśmy ziemi, on młodszy odemnie, więc patrzałem, jak od chłopięcych lat rwał się do walki, szesnastu lat nie miał, kiedy się do husarskiej zaciągnął chorągwi. Z Chodkiewiczem był pod Chocimem w 1621 roku, a pod Monasterzyskami w 1629 r. takie rany otrzymał, iż myślano, że się z nich nie wyliże. Wtedy to musiał posiedzieć doma, a rodzice i bracia skłonili go do

żeniaczki z Zofią Kobierzycką, o granicę od Czarnicy siedzącą. Dali mu też część tej rodzinnej Czarnicy, a było tam dziewięciu jego braci, sąsiadując z nim na wiosce, to dzierżwiąc inne, to zresztą dwóch księżmi osiadli na parafiach, a naszego Stefana nigdy dom prawie nie widział. Widział go za to nieprzyjaciel, któremu się w każdej bitwie dał dobrze we znaki, ot i teraz, kiedy swą córkę Konstancją wydawał za Wacława Leszczyńskiego wojewodę podlaskiego, to się jeszcze gody weselne nie skończyły, a on już wyciągnął w pole. Oj, takiego wodza, jako nasz Stefan, niełatwo znajdzie Rzeczpospolita! — dodał wierny druh i towarzysz.

Wtem głos dzwonka zajączał z wnętrza chaty, oznajmując, że się już spowiedź skończyła. Na ten odgłos towarzysze, którzy nie drżeli podczas wojennego huk, zadrżeli teraz. Każdy jeszcze smutniejsz zwiesił głowę, cisnąc się do chaty, a ukłękniejszy powtarzał słowa modlitwy... Ksiądz dał ostatnie błogosławieństwo, kornie schyliły się skronie wojaków, a potem wszyscy, powstawszy jak na komendę, cisnęli się koło łoża umierającego.

— Żegnam was, towarzysze moi! — mówił on — idę ja teraz do Tego, który nad wszelkimi mocarzami Mocarzem. On przebaczy winy moje, a ziemi naszej zesle swą łaskę. Dla mnie już wszystko tutaj skończone!... Zapóźno! zapóźno!... już ja nikomu hetmanię nie będę!

I przymknął powieki; po chwili jednak zapytał:

— Jaki to dzień dziś mamy?...

— Szesnasty Februari anno 1665 — rzekł ksiądz Dąbrowski.

— Szesnasty! — to już zgoła miesiąc od zdobycia Stawiszcz!... — I uśmiechnął się łagodnie. — Tyle jeszcze roboty!... — mówił dalej przerywanym głosem — ot, i ta buława; Ha, trudno!... pożegnajcie odemnie żonę i córkę... powiedźcie, żem je miłował... tak, bardzo miłował!... nie więcej jednak, jak ziemię naszą... och, nie, nie więcej!... Och!... ziemię moja!... ziemię! wydaj zgodnych, miłujących się synów!... Królowi oddajcie tę buławę... i powiedźcie... powiedźcie... zapóźno!... za-póź-no!...

I głowa wielkiego bohatera zakłęsta w poduszki, z piersi ostatnie uleciało tchnienie!

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

Z początku wejście na górę wcale nie było uciążliwe i przyznano słusność cieśli. Wędrowcy musieli tylko odchyłać kępki trawy, tamujące drogę, kiedyniekiedy grzęzli po trochu po moczarach, lecz żadnych większych przeszkód nie napotykali. Wyżej nieco uczuli suchszy i twardszy grunt pod stopami, w miejscu kępiastego tusaku rosła tu trawa zwyczajna, ujrzeni też z daleka jakieś żyjące istoty, które uciekały przed nimi widocznie. Z początku brali je za zajęce, lecz wkrótce się przekonali, że to były bezlotki, pełzające na łapkach i skrzydłach osobliwszym swoim zwyczajem. Dnia poprzedniego biedne ptaki nie sobie nie robiły z obecności ludzi, dziś, nauczone smutnym doświadczeniem, uchodziły śpiesznie na widok barbarzyńców, którzy im wydierali piśkłęta.

Wyżej znów napotykali ptaki odmiennego gatunku, między innymi petrele, prawie tej wielkości, co gołębie domowe, o piórkach stalowo-błękitnawych. Petrele nie składają jaj w piasku, jak bezlotki, lecz gnieźdzą się w szczelinach skał lub dziuplach drzew. Mieszkańcy Ziemi Ognistej urządzają na nie polowanie szczególnego rodzaju. Przyuczają do tego sowy, przywiązują je za prawą łapkę do długiego sznurka

i wypuszczają na gniazdo. Petrel wówczas wylatuje ze swojej kryjówki, ażeby się rzucić na napastnika i wpada w ręce lowcy, który na niego czatuje w pobliżu.

Stoki góry stawały się coraz bardziej strome i kłam już zadawały upewnieniom Seagriffa, panie z wielką trudnością postępowały, trzeba je było podtrzymywać, prowadzić, nieść prawie na rękach.

W jednym miejscu zwłaszcza musieli wędrowcy nasi przechodzić przez wąwóz głęboki, który zdawał się prowadzić prosto na wierzchołek góry, a miał po bokach prostopadłe ściany tak ślizkie i wygładzone, że prawie niepodobna było wdrapać się na nie. Wyglądało to zupełnie, jakgdyby kto sobie naumyślnie taką ślizgawkę urządził, ażeby się spuszczać z góry saneczkami. Komuś nawet z wędrowniej gromadki przyszło na myśl, że to musi być sprawa bezłotków. Lecz Seagriff pokręcił głową, według jego zdania była to przedźej robota fok, które w takiej obfitości zamieszkują te wybrzeża.

— Trudno uwierzyć, jak te zwierzęta wybornie drapiają się po stromych wyżynach — mówił cieśla — chociaż tak ociężałe wyglądają. Największa to dla nich rozkosz, gdy upatrzą w pobliżu morza jakąś spokojną górę, zaraz się na nią sadowią i wygrzewają na słońcu. Jestem prawie pewny, że zastaniemy ich tam całą gromadę na tym szczycie.

I nie mylił się wcale. Zaledwie wymówił te słowa, gdy foka, spłoszona zapewne tą rozmową, wysunęła głowę ponad krawędzią kotlinki. Spostrzegłszy wędrowców, wydała okrzyk trwogi, któremu zawtórowało natychmiast sto głosów podobnych.

— Zatrzymajcie się państwo, stańcie z boku pod skałą i czekajcie, a ja pójdę na zwiady — ozwał się stary cieśla zaniepokojonym nieco głosem.

Wszyscy usłuchali w milczeniu, a Seagriff, trzymając się krawędzi skał i krzaków, wydrapał się na wierzchołek bocznej ściany wąwozu. Henryk Chester miał wielką ochotę iść z nim i byłby go z pewnością wyprzedził, lecz musiał przyjść w pomoc żonie i córce kapitana i usadowić je pod krzakiem, by nieco odpoczęły.

Tymczasem na wierzchołku skały najdziwniejszy w świecie widok przedstawił się oczom Seagriffa. Całe płaskowzgórze, zajmujące co najmniej akr kwadratowy, pokryte było fokami, które tam leżały jedna na drugiej, zupełnie, jak śledzie w beczce. A wszystko to było w ruchu, okrzyki trwogi, przez czujną straż wydane, wywarły ogromne wrażenie, cała gromada zabierała się do odwrotu i szybko zmierzała ku wąwózowi, zwykłej swój drodze do morza.

— Do stu piorunów i kartaczy! — wołał stary cieśla — baczność tam na dole, trzymajcie się państwo krzaków, żeby was ta hałastra nie porwała za sobą!...

Przestroga nie była daremna. Niezmierna masa cielsk ciężkich, lepkich, prawdziwa lawina żyjąca stoczyła się nagle w głąb wąwozu. Wszystkie foki z rozwartemi paszczami, wystawiając dwa rzędy ostrych zębów, wrzeszcząc, sapiąc, wyjąc, jak psy wściekłe, spuszczały się po wyslizganęj drodze, żadna siła nie zdołałaby ich powstrzymać w tym rozpędzie. Był to widok przerażający, najodważniejszy człowiek zdrzął się w obec takiego niebezpieczeństwa, nieokreślonego, dziwnego, a jednak niemniej groźnego od lawiny lub nagłego przypływu wód oceanu.

Na szczęście wędrowcy mieli czas schronić się za krzakami, u stóp kamiennęj ściany. Na szczęście także mieli do czynienia z fokami łagodniejszej natury, a nie z drapieźnymi lwami morskimi. Biedne zwierzęta wyglądały wprawdzie rozwścieczone, lecz w rzeczywistości strwożone były bardziej od ludzi, którym zagrażały, umykały też jaknajspieszniej do morza, które jest właściwym ich żywiołem i gdzie się czują bezpieczne. W parę minut całe to mrowie przeleciało i znikło.

Straszna trwoga przynajmniej nie długo trwała; gdy wędrowcy stracili z oczu ostatnią fokę, uśmieli się porządnie z całego tego zdarzenia, potem puścili się w dalszą drogę i wkrótce weszli szczęśliwie na wierzchołek góry.

Ujrzeni tu przed sobą widok rozległy i wspaniały. Na samym krańcu widnokregu, w stronie północno-wschodniej, wznosił się szczyt wyniosły w kształcie piramidy, sięgał on wyżej daleko od wszystkich gór okolicznych i odeinał się ostrym cyblem na błękitnie nieba. Kapitan Ganey długo się w tę górę wpatrywał, i gołém okiem, i przez lunetę, potem odwrócił się do towarzyszy, a właściwie do Seagriffa i rzekł:

— Tak, to jest góra Sarmiento, poznaję ją z opisów i rysunków, nie mam już żadnej wątpliwości. A oto znów góra Darwina i ta jest łatwa do rozpoznania, chociaż nie tak dobrze ją ztąd widać. Wielką nam wyrządziłeś przysługę, Seagriffie, zwracając na to moje uwagę. Wiemy już teraz, gdzie jesteśmy i nic nam nie pozostaje, tylko iść za twojemi wskazówkami i korzystać z roztropnych rad twoich.

Seagriff uszczęśliwiony był tym hołdem publicznym, którym kapitan uczcił jego wiadomości geograficzne, rumienił się, jak panienka, słuchając tych pochwał i śmiał się, dla pokrycia zakłopotania. Luneta przechodziła z rąk do rąk; każdy chciał własnymi oczyma obejrzeć wyniosły szczyt góry Sarmiento i mniejsze wzgórza, skupione dokoła tego olbrzyma. Wypocząwszy nieco, całe towarzystwo powróciło do obozu, a zejście z góry zabrało o połowę mniej czasu, niż wejście i żadnych nie przedstawiało trudności.

IX.

Spotkanie z krajowcami.

Przygotowania do podróży nie trwały długo. Upakowano na obie łodzie obfity zapas żywności, złożony z młodych bezłotków i korzonków tussaku, zabrano namiot i naczynia kuchenne; potem wszyscy usadowili się w tym samym porządku, w którym odbyli podróż poprzednią, po opuszczeniu okrętu; łódka wyruszyła naprzód, torując drogę szalupie, okrążyła wyspę, kierując się do zatoki, czy cieśniny, jak utrzymywał Seagriff.

Na szczęście woda nie była zbyt burzliwa, a kierunek wiatru sprzyjał naszemu żeglarzom, ułatwiając im najcięższą przeprawę. Przytwierdzono więc małe maszty do obu łódek i rozwinięto żagle. W pół godziny szalupa i łódka dotarły do północnych wybrzeży wyspy i wpłynęły na spokojne wody mniemanęj zatoki, a tu zwróciły się na wschód, gdzie w odaleniu widać było wielki ląd Ziemi Ognistej.

Już od godziny obie łodzie żeglowały jedna obok drugiej, gdy kapitan, który co chwila spoglądał przez lunetę, zawołał nagle na Henryka:

— Stój! Baczność! czółno jakieś odbija od lądu!

Henryk w milczeniu usłuchał rozkazu, kazał ściągnąć żagiel i obie łódki zbliżyły się jedna do drugiej tak, że brzegi ich stykały się z sobą prawie. Tymczasem Seagriff, któremu kapitan podał lunetę, przypatrywał się uważnie owym nieznanym żeglarzom.

— Jest to czółno tutejszych krajowców, zdaje mi się, że poznaję dzikich z plemienia Elikolepów — rzekł wreszcie po dość długim milczeniu.

Słowa te wymówione były z takim spokojem, że ani kobiety, ani majtkowie nie przypuszczali, aby miały jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zwiastować. Na rozkaz kapitana, łodzie popłynęły w dalszą drogę, nie podniesioną jednak żagli, pomagano sobie tylko wiosłami. Czółno krajowców odbiło od północnego brzegu lądu i widocznie płynęło na spotkanie naszych żeglarzy. Nie było sposobu go wyminąć, a i odwrót na nicby się nie zdał teraz.

W parę minut krajowcy zbliżyli się za odległość głosu; łatwo już było rozpoznać, że w długim, wązkim czółnie siedziały trzy kobiety z dwojgiem dzieci i siedmiu mężczyzn. Kapitan ztąd wnosil, że przybysze mieli zamiary pokojowe; postępowanie dzikich potwierdziło wkrótce to mniemanie, dwaj z nich stanęli na przodzie czółna, podnosząc ponad głowami skóry zwierzęce i wołając donośnym głosem:

— Ho say!... Ho say!...

— Ten wykrzyknicz oznacza, że chcą wejść z nami w układy i sprzedać swoje towary — rzekł Seagriff.

— Bardzo dobrze — odrzekł kapitan — trzeba im dać do zrozumienia, że nic przeciwko temu nie mamy.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Czy słyszeliście kiedy, czytelnicy, ażeby rzeka mogła się zapalić i ogniem płonąć? Wygląda to na bajkę, a jednak mieszkańcy Szkocji oglądali niedawno naprawdę takie szczególne widowisko, rzeka Klyda w pobliżu miasta Glasgowa na znacznej przestrzeni zapłonęła tak wspaniale, że wieczorem blaskiem swym całą okolicę oświetliła, tysiące ludzi zbiegało się ze wszystkich stron i podziwiała niezwykle to widowisko.

Rybak zapalał fajkę w łódce i rzucił niezgaszoną zapalną w wodę; i nagle światło ukazało się na powierzchni rzeki, rosło szybko, płomień rozchodził się, rozprzestrzeniał, aż w końcu rzeka cała zdawała się ogniem płonąć, a trwało to dość długo, podobno kilkanaście godzin.

Pojmujecie, że woda palić się nie mogła, inna więc musiała być przyczyna tego osobliwszego zjawiska. Oto w okolicy tej są kopalnie węgla, głębokie galerye podziemne przechodzą pod korytem rzeki, w kopalniach zaś zwykle wywiązują się gazy nadzwyczaj zapalne. Już przedtem uważano, że na powierzchni rzeki często wśród spokojnej wody ukazywały się pęcherzyki gazu, oczywiście więc lekkie te gazy znalazły sobie drogę i z kopalni przedostały się aż do dna rzeki, a unosząc się coraz wyżej, wydobyły się nakoniec ponad powierzchnią wody, a zetknąwszy się z zapalną, zaczęły ogniem płonąć.

Zjawisko to, jakkolwiek rzadkie, nieraz już było widziane. W tejże samej Szkocji na innej, mniejszej rzece, gazy gromadziły się w takiej obfitości, że podobne pożary powtarzały się raz po raz przez lat kilka.

S Z A R A D A (Żóraw).

O, moi drodzy! źle to jest bardzo,
Gdy ludzie związkiem rodzinnym gardzą,
Gdy *wszystko* w braci, siostrzyczek kole,
Wywoła swary, kłótnie, swawole.
Druga i trzecia zawsze i wszędzie
Niech nieustannie pośród was będzie,
I niechaj nigdy, chłopcy, dziewczeczki,
Nie przeczą innym, nie budzą sprzeczeki;
Gdy kto „tak” rzeknie, nie mówią *pierwsze*,
Bo wówczas nawet chęci najszczerze,
By *druga trzecia* istniała w domu,
Już się nie zdadzą na nic nikomu.

Łamigłówka zegarek.

(Od Firletki białej dla Czarnuszki z Mroczkowa).

Ułożyć dwanaście wyrazów sześciogłoskowych w kształcie zegarka.

Znaczenie wyrazów: 1. Część składowa kwiatu. 2. Międzymorze. 3. Przedmiot niezbędny do pisania. 4. Wyrób roślinny, rzeźmiennie pożyteczny. 5. Legendowy książę polski. 6. Wyrób roślinny bardzo rozpowszechniony. 7. Część składowa kwiatu. 8. Ziele znane z goryczy. 6. Prowincja dawniej Polski. 10. Prowincja francuzka. 11. Dostojnik kościoła. 12. Przyprawa do potraw. Końcowe litery utworzą imię i nazwisko sławnego uczonego szwedzkiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Szarady:

Sza — fa.

Krzyża z podstawą:

	S					
	T					
	E					
	F					
B	I	A				
	Ł	Y				
	N					
	B					
	A					
	T					
	K	O	S			
J	E	R	Z	Y		
K	O	R	Y	B	U	T

Prenumeratorem kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Wieśniaczka czeska (z drzew.) — Podczas burzy (wierszyk). — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginkę (c. d.). — Babunia, nowelka. — Smok (z drzew.) — Zapóźno p. Z. Morawską. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Nauka Adasia i Mani (z drzew.) — Wrona, bajka p. Z. Morawską. — Gadatliwa Julcia p. C. Falkowską. — Wieczór Trzech Królów p. Zofią Urbanowską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuzkiego.

Nanka Adasia i Mani.

— Od jutra rozpoczniecie lekcye z panem Burzyńskim, pamiętajcież, moje dzieci, żebym się za was nie wstydziała.

Tak mówiła mama do Adasia i Mani, a dzieci stanęły, jak trusie i buzie im się przeciągnęły. Dotąd uczyły się



z mamą, a nie była to wcale mozolna nauka, nauczyciela obawiały się troszkę. Ale mama miała dużo zajęcia z gospodarstwem, nie mogła więc uczyć ich dalej, a Adaś i Mania podrastali i trzeba było nauki téj dopilnować. Mama prosiła zatem pana Burzyńskiego, nauczyciela, aby na parę godzin lekcyj do nich przychodził.



Nazajutrz strach jeszcze większy ogarnął dzieci, gdy przyszedł p. Burzyński, starsuszek w okularach, bardzo poważny; zdawało się im obojgu, że taka lekcya z nauczycielem to jakaś okropna męczarnia. Pan Burzyński zaczął od lekcji geografii, rozłożył atlas na stole i wskazując różne kraje, opowiadał dzieciom niezmiernie ciekawe rze-

czy o mieszkańcach tych krajów, o osobliwych zwierzętach i roślinach. Mówił, jak to na północy, pod biegunem, ciągle jest zimno, jak tam woda zamarza, na morzu i na wybrzeżach sterczą ogromne bryły lodu. Jak znów na równiku, pod zwrotnikami, jest strefa gorąca, nigdy niema zimy, okropne upały przez cały dzień dokuczają, a drzewa i różne rośliny, u nas po cieplarniach hodowane, zielenieją się bujnie przez rok cały. Kazał im potem toż samo powtórzyć, pytając, czy dobrze rozumiały, a wszystko to tak dzieci zajęło i zabawiło, że gdy godzina upłynęła i p. Burzyński wstał, zapytały z żalem:

— Czy to już koniec?

— Na teraz koniec — odpowiedział z uśmiechem pan Burzyński — ale po obiedzie przyjdę znowu na godzinę.

— I będzie już prawdziwa lekcya? — spytał Adaś.

— Alboż ta była nieprawdziwa? — rzekł zdziwiony troszkę nauczyciel.

— Bo pan takie ciekawe rzeczy opowiadał — mówił chłopczyk — że ja się nic a nic nie zmęczyłem, tylko mię to bardzo zabawiło.

— I mnie także — dodała Mania.

— A więc wam się zdaje, moje dzieci — rzekł p. Burzyński — że lekcya koniecznie was musi zmęczyć i znudzić? Ale mylicie się bardzo, nauka jest miła i przyjemna, ten tylko może się przy niej nudzić i męczyć, kto nie rozumie tego, czego się uczy. Są wprawdzie rzeczy trudne do zrozumienia, wtenczas trzeba troszkę się pomozolić, ale raz pokonawszy przeszkodę, doznaje się prawdziwej rozkoszy, która te trudy nagradza. Próżniacy daleko więcej się nudzą od ludzi uczących się i pracujących.

Adaś i Mania przekonali się z czasem, że p. Burzyński miał słuszność. Ile razy słuchali pilnie, uważnie, zawsze zrozumieli wszystko, co mówił nauczyciel, a wówczas każda nauka ich zajmowała. Jeżeli zaś czasem które z nich zagawroniło się, nie uważało, zaraz dalszy ciąg wykładu wydawał mu się nudny, bo go nie rozumiało.

WRONA.

BAJKA.

Z północy i z południa, słowem z różnej strony
Podczas zimy wieczorem zebrały się wrony
I chodząc raz powoli, to znów żywiej trochę,
Wiodły z sobą narady... A wtém chłopcy płochę
Poczęli śniegiem rzucać w wrony tak obficie,
Że aż jedna, najmłodsza postradała życie,
Druga, w całej rodzinie czczona i wielbiona,
Została prawie oko brzydko skaleczona.
Inne z krzykiem i wrzawą uciekły do lasu,
Unosząc swoje członki w całości zawczasu.
Lecz jedna pozostała na pobojowisku,
Pochyliła się cała w troskliwym uścisku
Nad ową skaleczoną. A choć kule śniegu
Krzyżowały się nad nią w swym szalonym biegu,
Ona nad okrwawioną roztoczywszy skrzydła,
Chciała od niej odwrócić téj bójki straszyciła.

— A to dziwna ta wrona! jakby martwa stoi,
Chociaż w nią tak rzucamy, ona się nie boi!
Nie boję — rzecze wrona — nie boję dla siebie,
I moją drogą matkę zasłonię w potrzebie,
Wszakże i między ludźmi jest obyczaj taki?
Na to się zawstydzili swawolne chłopaki,
Każdy śnieżkę zostawił spokojnie przy sobie
I z szacunkiem spoglądał na te wrony obie.
Lecz z jakąś dobrą myślą wrócili do domu,
I odtąd nie robili już krzywdy nikomu.

Z. Morawska.

GADATLIWA JULCIA.

Julcia, mała jeszcze dziewczynka, lubiła bardzo dużo paplać i często powtarzać, co gdzie usłyszała, dodając wiele własnych uwag. Kuchnia była jęj ulubioném miejscem do pogadań ze służącemi, tam języczek jak młyn się obracał. Tylko przy mamie wielomówność ustawała, humor dobry się zmieniał. Julcia lubiła także z powierzchowności sądzić o ludziach i zganić i wyśmiać każdego... Jeżeli poszła w odwiedzin z babunią, oczki jęj szukały tylko, żeby znaleźć coś do przygany. Tu był salonik za mały, tam na meblach obicie nieładne, to znów stolik brzydki, lub ubranie domowych osób niegustowne.

Pewnego dnia, wracając z odwiedzin, głośno opowiadała babuni, co w tym domu jęj się nie podobało, nie spostrzegła idącej obok kobiety, bardzo nędznie ubranęj, która wysłuchawszy rozmowę małej panienki, odezwała się do nięj:

— Masz przykład na mnie, panienko, jakie to bywają skutki upodobania w ładnych meblach i wykwinnych strojach. Lubiałam wszelkie błyskotki, nie zwracając uwagi, że kto nie ma znacznych fundusów, nie umie zapracować i oszczędzić, ten w skutek zamiłowania do pięknych mebli, kosztownych strojów, uledek musi losowi, jaki i mnie spotkał. Nie ja jedna cierpię za zbytki. Na każdym kroku spotkasz nędzarzy, pokutujących po chwilo-wém używaniu dostatków, gdy nie umieli oglądać się na przyszłość.

Staruszka poszła dalej, a Julcia przyglądała się długo idącej i nędznemu jęj ubraniu; może ta nauczka pozostanie jęj w pamięci, może zrozumie, że największe dostatki przy marnotrawstwie doprowadzają do nędzy. Nie każdy może mieć ładne meble, wykwinne stroje, ale każdy może mieć w domu porządek, nawet przy ubóstwie.

C. Falkowska.

Wieczór Trzech Króli.

PRZEZ *Zofię Urbanowską,*

(Dokończenie).

Usiadł na łóżeczku i zaczął myśleć, jakby wynagrodzić siostrzyczce krzywdę, wreszcie uderzył się w czoło i szepnął:

— Już mam!

Wstał, zarzucił na siebie kurteczkę i po cichu, żeby nie obudzić cioci, podszedł ku oknu, gdzie stało duże wyściełane krzesło, a na krzesle spał śliczny biały kotek. Malutki ten kotek był najdroższym przedmiotem, jaki Juraś obecnie posiadał, największym jego skarbem od tygodnia. Bawił się z nim po całych dniach, nosił go na rękach i śmiał się do rozpuku z jego tysięcznych figlów. Przy świetle księżycy biała, miękka sierść kotka, lśniła jak jedwab, a czerwona wstążeczka, zawiązana na szyi, była mu bardzo do twarzy. Juraś wziął go na ręce, przycisnął do serca i ucałował gorąco, szepcząc:

— Nie będę już twoim panem, mój najdroższy, mój śliczny koteczku. Ach, jak ja ciebie kocham!

Kilka łez spadło na ulubieńca, ale Juraś otarł je zaraz.

— Trzeba być mężczyzną — rzekł z westchnieniem, i podnosząc oczy ku gwiazdom, dodał: — Jeżeli dusza kwiatka jest w niebie i widzi z tamtąd, co ja cierpię, to pewnie mi przebaczy.

Ucałował jeszcze raz kotka i ostrożnie, na palcach, skierował się do drugiego pokoju, gdzie spała z mamą jego siostrzyczka. Idąc, potracił o jakiś błyszczący przedmiot: była to korona. Odsunął ją z pogardą.

— Gdyby nie ty — rzekł z gniewem — nie stałoby się to wszystko.

A sumienie odpowiedziało mu:

— Gdyby nie twoja próżność, Jurku, i twoje samolubstwo; gdyby nie twoja złość, której nie umiałeś pohamować, jak na mężczyznę przystało.

Drzwi nie były zamknięte na klamkę; uchylił je z cicha, mówiąc do siebie:

Położę go na kołdrze. Gdy się obudzi, znajdzie go przy sobie i domyśli się może, że on już nie mój, tylko jęj.

Ale dziewczynka nie spała. Stała na środku pokoju okryta wełnianą chustką mamy, a na boscie nogi włożyła trzewiczki, jakby się gdzieś wybierała.

— Nie śpisz? — zapytał nieśmiało Juraś.

— Nie — odpowiedziała łagodnie — nie mogłam usnąć.

— I ja także. Przyniosłem ci kotka. Weź go i niech już będzie zawsze twój. Przykro mi, że tak źle zrobiłem... Nie gniewaj się już na mnie.

— I mnie przykro, że byłam dla ciebie niedobra i nie chciałam ci powiedzieć dobranoc... Nie mogłam usnąć, tylko myślałam ciągle, że ty tam nie śpisz i martwisz się tem, co to wiesz... Chciałam iść do ciebie i powiedzieć ci, że się nie gniewam.

— Jakaś ty dobra! Więc ci już nie żal kwiatka?

— Nie — odpowiedziała, ocierając nieznacznie łezkę. Juraś objął ją prawą ręką, bo w lewej trzymał kotka, a ona zarzuciła mu obie rączki na szyję.

— I mnie też nie żal kotka — rzekł po chwili, tłumiąc westchnienie — bo widzisz, ja ci go darowałem.

— Nie, nie chcę twego kotka, żeby tam niewiem co — odparła z żywością — ty go tak kochasz!

— Kocham go, ale nie chcę go już mieć. Chcę, żebyś ty go miała. Prawda, że on jest bardzo miłutki?

Chciał go położyć na jęj łóżeczku, ale Wandzia powtórzyła ze stanowczością:

Skrzynka do listów.

— Nie wezmę kotka.

— Jeżeli go nie weźmiesz, będę myślał, że ciągle żalujesz kwiatka, i że się jeszcze na mnie gniewasz — powiedział ze smutkiem.

— Jurku — rzekła dziewczynka — to niech on nie będzie ani twój ani mój, tylko nasz. Dobrze?

— Dobrze — odrzekł. — Jakie te dziewczęta są mądre! i dodał: — Słuchaj, Wandziu, czy myślisz, że go bardzo bolało?

— Kogo?

— Ano jego, kwiatka. Mama mówi, że rośliny żyją i czują.

Dziewczynka zamyśliła się.

— Jeżeli go bolało — odrzekła — to niedługo. Wszystko skończyło się tak prędko...

Juraś westchnął.

— No, a teraz dobranoc — rzekł, obejmując tklawie siostrzyczkę. — Ja nie wiem, czy będę spał, bo moje łóżko stoi nawprost komina; a chociaż wiem, że duchów niema, ale nie lubię na niego teraz patrzeć...

— To zostań ze mną; będziemy sobie rozmawiali. mnie się nic a nic spać nie chce.

Mówiąc, to ziewnęła.

— Dobrze, ale o czém?

— O tém, co będziemy robili, jak dorośniemy.

Usiedli na kanapie, a Wandzia mówiła dalej:

— Ja będę chodziła z kluczykami, jak ciocia, bo bardzo lubię gospodarstwo. Będę chowała dużo kurcząt, gęsi, kaczek, gołębi, a nigdy nie pozwolę nic zabijać.

— A ja — odpowiedział sennym głosem Juraś — będę rycerzem. Każę sobie zrobić żelazną zbroję, hełm z piórami i miecz taki, jak...

Głowa opadła mu na poręcz kanapy i zasnął. Wandzia nie pytała, jak wyglądał ten miecz, bo także już spała.

Nazajutrz rano matka zobaczyła uśpione razem na kanapie swoje dzieci, których niezgoda wczoraj tak bardzo ją zmartwiła. Jasne ich główki przytulone były do siebie, a między nimi leżał kotek i mruczał.

Łamigłówka głoskowa.

(Od Dzieciota dla Słowika Warszawskiego).

Jaskier — Szanka — Nogietek — Powójnik — Piwonia — Cebula — Chaber — Agrest — Dębiana — Sosna — Wiśnia — Szparag — Mak — Wanilia. — Z każdego z tych wyrazów wybrać po jednej literze i ułożyć z nich imię i nazwisko poety polskiego z XVI wieku.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 10-go.

Zadania konikowego:

Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.

P. Wieńczysław Ł., który nadesłał nam artykułik tłómaczony o zasuszaniu roślin i urządzaniu zielnika, nie zna zapewne naszego pisma, skoro mniema, że podobnych wskazówek nie było w niem jeszcze. Najrozmaitsze pogadanki botaniczne, zawierające sposoby zbierania i zasuszania, oraz klasyfikowania roślin, podawaliśmy co rok na wiosnę i latem. Rękopis jest do zwrotu.

Bławatce z nad Horynia przesyłamy uścisk serdeczny za wszystkie miłe rzeczy, wypisane w liściku. Niezapominajka z nad Horynia nazywa się Eugenia, a czy bywa w kościele w Sławucie, o tém może doniesie, gdy wyczyta te słowa. Przegląd pedagogiczny oddawna zaprenumerowany, i niemieckie piśmko także.

Koledze Żubrowi serdeczne pozdrowienie przesyła Kazio i prosi, aby mu dowiódł swój przyjaźni, należąc do jego konkursów. Prawdziwego nazwiska Kazio wyjawić nie może nikomu z powodów, które nieraz ciekawym czytelnikom wyjaśniał. Dowcipne łamigłówki Żubra wydrukujemy, prosząc jednak o cierpliwość.

Łani i Różyczce polnej radzibyśmy jak najdłuższe dawać odpowiedzi, skoro im to taką sprawia przyjemność, tym razem muszą jednak kochane dziewczątka na krótszej poprzestać, bo nadeszło mnóstwo liścików, a na wszystkie odpowiedzieć trzeba. Łania pisałaby daleko ładniej, gdyby większe literki kresliła; jawnie zapewne wyobraża sobie kochana Łania, że maczki są stosowniejsze dla takiej dorosłej osobki. Wszystkie łamigłówki wydrukujemy z czasem. Różyczka polna może za pośrednictwem naszym pisywać do Różyczki z Odesy.

„Kochana Wiochno! Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Zapewne to ten piękny wiersz Lenartowicza skłonił cię do niego. Napisz mi, ile masz lat, jak się nazywasz, czy mieszkasz na wsi czy w Warszawie, czy masz rodzeństwo? Ja się nazywam Janina (Ninka) skończę niezadługo lat 12, mam trzech braci i siostrę, Różyczkę polną. Posyłam ci szaradę, i czekam twój odpowiedzi z niecierpliwością.

Łania”

Malinę z Siedlec przepraszamy bardzo za roztargnienie, z tego bowiem jedynie powodu nie było wzmianki w poprzednich odpowiedziach o „Liście do przyjaciółki”. Przykład ten nie jest trafnie wybrany, smutna to rzecz bowiem, gdy dzieci muszą winy rodziców ukrywać, pocóż więc na dowód, że wielomowność jest szkodliwą, taki właśnie fakt wybierać?

Wytrwałość stosuje się widocznie do pięknego swego pseudonymu, czém pozyskała już sobie szacunek i przyjaźń Kazia, który za pozdrowienie dziękuje i przesyła wzajemne.

Lew uspokoił nas zapewnieniem, że nie ma w sobie nic drapieżnego, ale z jakiego względu szanowny Lew do wyjątków należy? Prosimy o wyjaśnienie. Zagadki są dobre.

Róża dzika dobrze bardzo zrobiła, że cudzoziemski swój pseudonym na swojski zamieniła, a lepiej jeszcze, że się nie zraziła pierwszym niepowodzeniem.

„Kochana Wisienko! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, wiem, że masz lat 14, ale napisz, jak masz na imię i gdzie mieszkasz. Ja się nazywam Henryka, mam lat 12, przesyłam ci całuska.

Twoja Róża dzika”

Orzeł z nad Niemna trafnie rozwiązał dwie łamigłówki.

Fujarka bardzo dobrze ułożyła „Prozę i Poezyę” i trafnie rozwiązała naszą łamigłówkę. Musimy też podziękować kochanej Fujarce, że tak wyraźnie, dużemi, kształtnymi literkami pisze. Bardzo to zdrowo dla spracowanych oczu czytać podobne liściki. 2 ruble rozdzielono pomiędzy ubogie dzieci.

Stokrotka z nad Granicy zali się, iż nie odebrała odpowiedzi. W tych czasach nadeszło kilka liścików z tym podpisem „Stokrotka” ponieważ jednak nie było obok pseudonymu nazwiska prawdziwego, nie wiemy o który idzie; lecz wszystkim kochanym korespondentom odpowiadamy. Rozwiązanie trafne.

„Kochane Wilczyko! Odpowiedź twoja na zadanie konkursowe o słusznej i niesłusznej dumie tak mi się spodobała, że bardzo pragnę cię poznać. Donoszę ci, że mi na imię Kazio, mam lat 12 i mieszkam na Litwie. Nie dziwię się, że czasem się gniewasz, gdy ci w rozwiązywaniu zagadek i. t. p. nie chcą pomagać, bo i mnie to samo się zdarza. Proszę o odpowiedź. Ścisłkam cię
Twój przyjaciel Chudy Szparag”

Chudy Szparag zarzuca niesprawiedliwość redakcyi, która nie dała nagrody jego kuzynce za śliczną odpowiedź na zadanie konkursowe. Chwali się to Szparagowi, że kuzyneczkę kocha, lecz redakcyja krzywdy jej nie wyrządziła; odpowiedź była bardzo dobra, ale jeżeli się znalazły jeszcze lepsze, to już nie jest wina redakcyi.

Słowiczek warszawski może być spokojny, nie będzie zaliczony do małych dzieci, tém bardziej, że coraz porządniej pisze.

Gazela z nad Czarnéj ślicznie robi, że nie chce się stroić w cudze piórka, lecz dobrze także, iż otrząsnęła się ze zbytnej nieśmiałości i sił poprobaować postanowiła. Mamy nadzieję, że kochana Gazela zapisze się do liczego gronka stałych naszych korespondentek.

Ex-Czaple, po odczytaniu jej pocziwego i rozsądnego liściku, witamy takiem sercem, jak ongi witany był syn marnotrawny; a nie mogąc jej ofiarować tłustego cielca, przyrzekamy przynajmniej wydrukować zaraz w następnym N-rze łamigłówkę, na znak wiekuiętej zgody i przyjaźni. Serdecznie dziękujemy za wiadomość o Strzale i jej siostrzyczce.

Muszelce z nad Pilicy przesyła pozdrowienie Ex-Czapla, zapytuje o Renadę jej starszą siostrę, Dziudzi przesyła buziaka.

Kujawiankę z wielką przyjemnością zaliczamy do stałych korespondentek, a Kazio wdzięczny jest niezmiernie za pochlebne słówka i upewnia, że nie przestanie być wiernym sługą i przyjacielem naszych panienek.

Czarnulka ma widocznie ogromną ochotę składać rymy i niema w tém nie nagannego; rymom tym nawet niewiele zarzucić można, lecz oprócz rymów, dużo, dużo jeszcze potrzeba, aby wierszyki na druk zasługiwały.

Blondynka z Cieszyna ucieszyła nas bardzo liścikiem, tak dobrą polezczyzną pisanym, pomimo, że Blondynka nauki pobiera w niemieckim języku. Bardzo to nam miło, że czytając pisemko nasze i korespondując z redakcyą, kochana Blondynka może nabierać wpraw w ojczyźstéj mowie. Krzyż z podstawą dobrze ułożony, łamigłówa zgłoskowa także, lecz kwadrat magiczny nie jest wcale kwadratem.

„Kochana Wiochno z pod Lublina! Chciałabym się z tobą zapoznać. Napisz mi, jak ci na imię, ile masz lat? Ja nazywam się Marynia, mam lat 12, jestem w 5-téj klasie. Posyłam Ci łamigłówkę, odgadnij ją, proszę, Twoja nowa znajoma

Blondynka z Cieszyna”

Słowikowi z Hożéj musimy powtórzyć to, co wszystkim zawsze mówimy, że łamigłówek natychmiast zamieścić niepodobna. Trzeba być cierpliwym, miły ptaszku, jeżeli są dobre, to przyjdzie na nie kolej.

Błyskawica musiała warunki konkursowe odczytywać z pośpiechem błyskawicznym, nie spostrzegła bowiem, jakie przysłowie było podane i napisała (prześliczną kaligrafią) wypracowanie, do innego przysłowia zastosowane. Ale kochana Błyskawica może to łatwo wynagrodzić przy następnym konkursie.

Piosenkę upewniamy, że liścik jej poprzedni z odpowiedzią na zadanie i łamigłówką rąk naszych nie doszedł. Co się z nim jednak stać mogło? Zupełnie takąż sama łamigłówa, jak obecnie nadesłana, drukowana była bardzo niedawno. Liścik do Strzały troszkę za długi, musimy go skrócić.

„Kochana Strzało! Dziękuję ci za łamigłówkę, którą prędko odgadłam. Proszę cię o adres, bo go zapomniałam, a chciałabym do ciebie obszerniej napisać. Całuję serdecznie ciebie i siostrzyczkę Piosenka”

Szczebiotka trafnie odgadła łamigłówkę, ale jej zadanie konkursowe nie jest według prawideł ułożone.

Gwiazdce z nad Chorolu dziękujemy w imieniu sierotki za przesłanego rubla. Kazio dziękuje za pamięć i przyjaźni Gwiazdki się poleca.

Brzózce z nad Giełczwi donosimy, że liścik jej z przesyłką doszedł do redakcyi. Odbiór listów rekomendowanych żadnego nam nie przyczynia kłopotu.

Zawierucha ucieszył nas wiadomością, że doświadczenia fizyczne mu się udają, mamy jeszcze w zapasie mnóstwo innych.

Zbiory botaniczne i zoologiczne może Zawierucha i tu w kraju gromadzić, nie potrzeba po to jechać aż do Ziemi Ognistej. Zadanie historyczne łatwe jest bardzo do odgadnięcia, lecz idzie o to, by odpowiedź porządnie była napisana. Rozwiązanie łamigłówek trafne.

Puszczyka zaliczamy najchętniej do grona korespondentów, musimy go jednak uprzedzić, że rzadko bardzo zamieszczamy powiastki pisane przez młodych czytelników, bo zamało mamy miejsca w pisemku.

Trawkę z nad Wilii przepraszamy bardzo, że w skutek nieuwagi redakcyi daremną sobie zadała pracę. Przy ogłoszeniu zadania konkursowego w Dodatku zapomniano dopisać, że mogą doń należeć tylko dzieci do lat 10. Ale Trawka to sobie wynagrodzi.

Jaskółka z nad Bugu ma tyle zadań konkursowych w naszym Pisemku, że może z nich wybrać stosowne do swojego wieku.

Majówce ukłon zasyla Kazio.

Biedronka ślicznie liścik napisała i dobrze ułożyła łamigłówkę, będzie drukowana.

Orzeł z nad Niemna dobre łamigłóWKI nadesłał, cierpliwości, Orzełku, a z czasem się ukazą

Pani Bogumile. Rękopis odebrany, dziękujemy serdecznie, druk rozpocznie się niezadługo.

Do wszystkich czytelniczek i czytelników „Wieczorów Rodzinnych”

Dawno już, kochani czytelnicy, miałam zamiar podziękować wam za życzliwość, z jaką przyjęliście powiastki moje, najpierw „Reginkę” a następnie obecnie wychodzące „Prawdziwe bogactwo”. Zeszło to jakoś do tej pory, ale tak dłużej być nie powinno, bo moglibyście pomyśleć, że jestem niewdzięczną i że naprawdę uprzykrzyło mi się czytać wasze odezwy, jak to żartem zapewne nadmieniła redakcyja w jednej odpowiedzi. Kochanej Akacyi najserdeczniej dziękuję za łamigłówkę, była to wielka niespodzianka. Za ofiarowaną mi łamigłówkę od Orła i Słowika również serdecznie dziękuję. Kochane ptaszki wielką sprawiły mi przyjemność tym dowodem życzliwości Z takimi czytelnikami rozstać się niepodobna, będę się więc starała napisać dla nich znów jaką powiastkę, kiedy są dla mnie tak życzliwi; tymczasem przesyłam wszystkim najserdeczniejsze wyrazy a całuska Stokrotce z nad Stochodu, Brzózce z nad Giełczwi, Brzózce litewskiej, Wiosence i wielu innym, których wyliczyć niepodobna.

Kazimiera (Bronisława Porawska).

Numer 5-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO, WYSZEDŁ I ZAWIERA :

1. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem od urodzenia do 20 roku życia, przez *J. Wł. Dawida*.
2. Lekcyja geografii. Dla uczniów w wieku od lat 12-tu do 14-tu, przez *P. Sosnowskiego*. (Dokończenie)
3. Z Arytmetyki. Lekcyja o stosunkach i proporcjonalności. Wskazówki metodyczne, przez *S. Dicksteina* (Dokończenie).
4. Karol Kehr, napisał *Antoni Rink* (Dokończenie).
5. Krytyka i bibliografija :
a) Encyklopedyja wychowawcza, ocenił *S. W.* b) Mitologia Greków i Rzymian dla młodzieży. Opowiedział dr. *F. J. Albert Zipper*, ocenił *S. W.*
6. z Prasy i Książek.

DODATEK: Zadania na ułamki *S. Dicksteina*,